

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 132.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 5 kwietnia 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

TREŚĆ NUMERU.

Bitwa pod Warką (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Muzycy ukraińscy (z drzeworytem). — Obrazy krakowskie (z trzema drzeworytami). — Mój kwiatek (początek). — Korrespondencya od redakcyi. — Złotopól (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

BITWA POD WARKĄ.

(Dnia 7 kwietnia 1656 r.)

Z początkiem r. 1656 pomysłność najazdu szwedzkiego w Polsce dosięgła swego szczytu. Wprawdzie Częstochowa ocalała od napaści Millera, ale większa część kraju i obie stolice były w posiadaniu Karola Gustawa, który tylko co zholdawawszy sobie miasta pruskie Toruń, Grudziądz, Chelm i kilka pomniejszych, 18 stycznia zawarł przymierze zaczepne i odporne z elektorem brandenburskim. Był to tryumf niepospolity, zapewniający mu ważne na przyszłość korzyści.

Ale już nad głowami napastników gromadziły się chmury, z których coraz częściej wypadał groźny dla nich błysk rozbudzonej cnoty obywatelskiej. Wierna królowi szlachta małopolska zjechała się w Tyszowcach, i tu, pod przewodnictwem obu hetmanów koronnych (*) oraz Stefana Czarnieckiego kasztelana kijowskiego, Krzysztofa Tyszkiewicza wojewody czerniechowskiego, Jędrzeja Potockiego oboznego koronnego i Hiacynta Szembeka starosty bogusławskiego, zawiązała w dniu 29 grudnia 1655 roku konfederacją, ku obronie

wiary i odzyskaniu utraconej niepodległości. Rozesłano uniwersały, wzywając odstępców aby powrócili do wierności monarcha, a jednocześnie do bawiego od kilku już miesięcy na Szląsku Jana Kaźmirza wyprawiono zaproszenie, żeby złączył się z narodem. Król skutkiem tego wydaje odezwę do swych poddanych, obiecując przebaczenie wszystkim, co zawiniwszy upamiętają się, i sam powraca do kraju, witany wszędzie z radosnym uniesieniem.

lubelska, ruska, wołyńska, podolska, a w innej stronie poznańska, ręczo rwie się do korda; chorągwie powstają wszędzie, jakby z pod ziemi wyrastały.

Na wieść o tych ruchach, Karol Gustaw, stojący w 18,000 pod Zamościem, widząc że bez ciężkich dział oblężniczych twierdzy tej nie weźmie, pociągnął ku Sandomierzowi, połączywszy się w drodze z Duglasem. Odwrót ten nazwać można raczej mozolnym, wśród ciągłych utarczek wleczeniem się, jak pochodem.



Ścisnąwszy konia ostrogami, pierwszy rzucił się w nurt rzeki. (Pomysł i Rysunek Kossaka).

Oddziały konfederatów nieustannie od boków i tyłu wieszały się przy uchodzącym nieprzyjacielu i urywały go potrosze. Dwa razy nawet, pod Jarosławiem i Rudnikami, Czarniecki tak niespodzianie napadł na samego króla szwedzkiego, że o mało go nie schwycił i zabrał mu wszystkie srebra stołowe.

Przybywszy do wiośnicy między Sanem i Wisłą, a nie mogąc przejść tej ostatniej, bo z tamtej strony czekali go już Czarniecki z Lubomirskim i Pawłem Sapiehą, Karol Gustaw uwiązał w samolówce, i byłaby się może już wtedy wojna skończyła pojmaniem jego lub zgnieceniem, gdyby nie brak regularnej piechoty. Okoliczność ta, jak w wielu innych razach, tak i tutaj, paraliżowała działania naszych wodzów, z czego korzystając król szwedzki, przeprowił się napowrót przez San, wyparł Litwinów z warownego obozu, zabrał im nawet działa, i spokojnie przez Lubelskie i Mazowsze przeszedł ku Warszawie.

Na Litwie Paweł Sapieha wojewoda wileński własnym kosztem uzbraja wojsko, i znaczne zebrawszy siły, Janusza Radziwiła, stronnika Szwedów, oblega w Tykocinie. Konfederacya tyszowiecka, z zapalem przez ogół przyjęta, szybko się rozkrzewia. Szlachta

Tymczasem lewym brzegiem Wisły nadciągała królowi odsiecz, pod dowództwem jego szwagra, margrabiego badńskiego Fryderyka. Margrabia, dowiedziawszy się że król ocalony, postanawia idącemu na Łowicz Czarniekiemu, który już przednią straż jego

(*) Stanisława Rewery Potockiego hetmana wielkiego koronnego i Stanisława Lanckorońskiego hetmana polnego koronnego.

zniósł pod Kozienicami, wzbroniec przeprawę przez Pilicę. Ale Czarniecki, znalazłszy wążki most na tej rzece pod Warką obsadzony przez nieprzyjaciela, kazał Wąsowiczowi pułkownikowi dragonii konnej przeciwnika przy moście zatrudnić, a sam w zwykłej swej szubie rysiej przypadłszy do swoich: „Hardy nieprzyjaciel, zawoła, zastawiwszy się rzeką, drwi z nas; ale wnet zobaczy iż on przebywszy morze, spiesząc się na oppressyą Polski, małej rzeki obawia się, a my tę rzekę w oczach jego przepłyniemy. Proszę za sobą! I ścisnąwszy konia ostrogami, piérwszy rzuca się w nurt rzeki rozlanéj szeroko wiosennym przyborem; za nim podążają wszyscy, i po upływie godziny już 3000 wojska na lewym brzegu Pilicy staje w szyku bojowym.

„Huknęły szwedzkie armaty, tak razem i potężnie, jakby się ziemia rozpekła, a potem nieprzerwanym ciągiem jak grzmoty wała jedne po drugich; na gwałt w tarabany biją, aż w uszach terkocze; a w powietrzu taki dziwny huk, turkot, brzmienie, jakby konie świata nadszedł.

„Widać po ziemi błyski i dym. Szwedzka rejtarya stoi w miejscu ze wzniesionymi szablami; konie naprężone jak na wylocie, czekają hasła. Nareszcie szeregi z szeregami się zwały, koń o konia się trącił, jeździec start się z jeźdźcem, szeregi zmieszały się z sobą, jak wirum zakreśliły i porwały się na drobne kawałki,—jak dwa stadą wron i kawek, kiedy w powietrzu się zdybia i uderzą na siebie, po całych obłokach się rozsypią i osobnemi kupkami gonitwy zawodzą.

„Armata ucichły, tylko strzały ręcznej broni kiedy niekiedy jeszcze hukną, tylko zewsząd slychać krzyki i głosy przeraźliwe; ziemia jęczy i stęka; w powietrzu brzmi i jęczy, i taka mieszanina, taki bój, że aż straszno patrzeć.“(*)

Około dwóch godzin trwała walka zacięta, aż Szwedzi do lasu uchodząc poczeli, a nakoniec w zupełną poszli rozsypkę. Nasi na drodze ku Warszawie doganiali ich i chwyтали; tych zaś co w gestwinę się schronili, pomordowali później chłopci. Sam Puffendorf, historyograf spółczesny Karola Gustawa, w wielu razach strony (bo utrzymuje na przykład że Czarniecki miał 12,000 wojska, Szwedzi zaś mniej daleko), przyznaje iż zaledwo 600 niedobitków przedarło się do Warszawy, a margrabia z Szlipenbachem i Ehrensteinem w 108 tylko koni dostali się do Czerska, gdzie przesiedziawszy trzy dni o chłodzie i głodzie, czwartego dnia w nocy przybyli do Warszawy.

W pamiętném tém zwycięztwie, odniesioném dnia 7 kwietnia 1656 r., przeszło 2000 Szwedów poległo lub dostało się w niewolę, a w liczbie tych ostatnich byli: młodszy margrabia Adolf, hrabia Falkenstein, generałowie Weger i Potter. Jemiółowski utrzymuje, że pojmano żywcem wszystkich nieledwie oficerów, a trupa położono ze 4000; ale liczba ta widocznie jest przesadzona, bo zdaje się że margrabia Fryderyk całego wojska pod Warką miał tylko około 3000.

Ze klęską musiała być ciężką i stanowczą, dowodzi także przytoczony przez Rudawskiego list brata króla szwedzkiego, falcgrafa Adolfa, w którym ten między innymi pisze do Karola: „Ponieważ dnia wczorajszego pulki margrabiego poniosły wielką klęskę od nieprzyjaciela i dotąd nie wiemy w jakim stanie znajdują się nasi.... przeto z rozkazu feldmarszałka i innych w. k. m. dowódców, pulki zostające pod komendą moją przeprawiłem przez Wisłę.“ i t. d.

W zbiorze historycznym p. t. *Theatrum Europaeum*, wydawanym w Frankfurcie nad Menem od r. 1635 do 1738, znajduje się własnoręczny niby list Stefana Czarnieckiego do królowej Maryi Ludwiki, który przedrukował w tłumaczeniu Eustachy hr. Tyszkiewicz, w publikacji obejmującej rysunki i opisy trofeów zdobytych przez wodza naszego na Karolu Gustawie we wsi Rudniku. (Wilno 1856 r., nakład Rubena Raławicza). Osnowa tego listu jest następująca:

Z Warki, 9 kwietnia 1656 r.

Najjaśniejsza miłościwa królowo, pani a pani nasza.

Donoszę w. k. m. o świeżo znowu otrzymaném zwycięztwie nad najezdnikami naszymi, Szwedami. Jak spodziewam się tak żyć, żeby coraz więcej podobnych przybywało, ku czemu nie zejdzie w. k. m. ani na moich najwierniejszych usługach, ani na serdeczném i nieustraszoném spóldziałaniu bohaterów moich towarzyszy.

Po pamiętnéj bitwie pod Jarosławiem nad rzeką Sanem, ścigałem w ślad króla szwedzkiego nad Wisłą i dotarłem za nim aż na lody, nie dając mu nigdzie wypocząć, codziennie nekając jego wojsko, tak iż nie mógł wcale ani wytechnąć, ani opatrzeć się w żywność. Znaczna część żołnierzy jego znużona i zgłodniała wymarła, inni w napadach i utarczkach od szabel naszych polegli. Spostrzegłszy że już kilka ty-

sięcy ludu stracił, przyparty do Wisły, postanowił dostać się do Sandomierza i w tej twierdzy wyczekiwać dogodniejszej pory; ale nim jeszcze mosty rzucić zdążył, my już zjawiliśmy się za Wisłą, dla przeszkodzenia mu w przeprawie. Skoro to zmiarkował, natychmiast, zmieniając zamiar, cofnął się nazad ku Sanowi, chcąc tę rzekę przebyć; lecz znalazł nad nią pana wojewodę wileńskiego (Pawła Sapiehę) z wojskiem litewskiem, które go tak przyjęło, iż z wielką stratą od Sanu odstąpić musiał. Przekonawszy się że wszystkie przeprawy przez San i Wisłę z naszej strony dostatecznie były osadzone, a falcgraf sulzbachski w 4500 ludzi spieszy nieprzyjacielowi na odsiecz, rzuciłem się przeciąć mu drogę, i zaskoczywszy pod Kozienicami jego straż przednią z kilkuset koni złożoną, rozkazałem ją otoczyć i w pień wyciąłem.

Zaraz po dokonaniu tego, puściłem się w pogoń za śpiesznie cofającym się falcgrafem, który mógłby był dostać się do Warszawy, gdybym części wojska mego nie zdążył przeprawić przez Pilicę. W niedostatku mostów, nie mając czasu na ich budowanie, puściłem się wplaw przez rzekę. Za moim przykładem poszły chorągwie; w mgnieniu oka znaleźliśmy się na drugim brzegu i dotarliśmy do straży odwodowej. Nieprzyjaciel, rozebrawszy za sobą mosty, sądził się już bezpiecznym. Natychmiast rozkazałem najwaleczniejszym moim chorągwiom, aby go w okolicach Warki i Czerska zabawiły, dopóki samego falcgrafa nie dosięgnę. Jakoż znalazłem wojska jego uszykowane do boju pod blizkim lasem, w którym znaczną część dragonów swoich ukrył. Nie zważając na to, uderzyliśmy na niego, i po kilku utarczkach zmusiwszy do ustąpienia, ścigaliśmy go tak natarczywie, że zasadzka ukryta przezeń w lesie nie mu nie pomogła. Znaczna część nieprzyjaciół poległa na bojowisku, a wielu zginęło od naszej pogoni, bo przez całe siedm mil, od Warki aż do przedmieść warszawskich, jechaliliśmy im na karkach. Mała część pozostałych rozbiegła się po lasach, gdzie ich niechybna śmierć czeka z rąk naszych chłopów. Mówią że sam falcgraf w tej bitwie poległ, krewny zaś jego poległ z pewnością; zdobyliśmy wszystkie tabory obozowe i 20 chorągwi, które razem z wyższymi jeńcami odesłałem j. k. m. panu mojemu najmiłościwzemu.

Tak z chwałą w. k. m. zakończył się ten dzień szczęśliwy. Nie omieszkam z największą czujnością i przecznością starać się o dalsze powodzenia. Teraz spieszę przeciw posiłkom, które prowadzą Wrangel i Steinbock. Zostaję w. k. m. i t. d.

Stefan Czarniecki.

W krytyczném jednak ocenieniu tego dokumentu mimo woli nasuwa się wątpliwość względem jego wiarygodności. A najprzód Czarniecki, wbrew Puffendorfowi, Kochowskiemu, Rudawskiemu i innym spółczesnym kronikarzom, powiada w nim że pobił falcgrafa sulzbachskiego, a nie margrabię badenkiego, jednoznacznie przez tamtych podanego. Dalej nie wspomina wcale o pojmaniu margrabiego Adolfa, tudzież Falkensteina, Wegera i Potera, przez powyższych historyków zaręczoném. Dołaczywszy do tego dziwną jakąś niepewność całego sprawozdania, (jak np. „mówią że sam falcgraf w tej bitwie poległ“), niewytłumaczoną niczém w naczelnym dowódcy, we dwa dni po rozprawie, oraz przytoczenie o zebraniu mostu na Pilicy, kiedy kronikarze świadczą przeciwnie, iż był tam most wążki, ale obsadzony przez nieprzyjaciela, — dochodzimy do wniosku, że list ten musi być podrobiony, lub przynajmniej bardzo przekształcony.

Bądź co bądź, świetne to zwycięztwo, będące jednym tylko listkiem w wieńcu sławy naszego bohatera, przyczyniło się znacznie do pomieszenia planów nieprzyjaciela i przyspieszyło ziszczenie przepowiedni danéj przedtém królowi szwedzkiemu u grobu Władysława Łokietka w Krakowie. L. J.

Kronika tygodniowa.

Od pewnego czasu zapomnieliśmy zupełnie o danym i dobrym naszym znajomym,—o preferansie...

O wy! znamionujące myśl zdrową i chorą, Piramidy i sfinksy, Memfis i Elloro! Stare głązy, rzeźbione na różne sposoby, Szczałki murów Niniwy i Balbeku groby, Wielkie grody jaśniające strukturą wyspaniałą, Rzymie i Kartagino, Warszawo i Biało! Próżno w pamięci wieków ścielecie łożyska Sobie, czas niezblągany ściera was w zwałiska, Piorun na was zniszczenia godzi po piorunie, Nie wam, nie wam się pysznić siłą niezłamaną!

Bo choć zdarta z swych posad ziemia w gruzach Asy, króle, walety i damy zostaną, [runie, I z ostatnim wyrazem myśli ludzkiej zbratan, Antychryst zaćwikuje, a pomoże szatan!...

I jakże się dziwić w takim razie, że preferans jest u nas tak gorliwie uprawiany?!

Choćby lzy gorzkie polały się wszędzie,
Choćbyśmy padli na sławie i cześci,
To ośm bez atu zawsze dobrém będzie,
Bo to się piatek odmaże trzydzieści.

A nie mówię już o totusie, bo o takiej szczęśliwości wolno tylko marzyć w błogich chwilach szalu, upojenia i poezji.

Totus, to kwiat rajski, który kwitnie raz-na sto lat i którego precudne barwy stają się tylko widome oczom tego, co przez rok i sześć niedziel żadnego, nawet powszedniego, grzechu nie popełnił.

Totus, to ów drogocenny pierścień Gygesa, który leży zaklęty w łonie ziemi, pod strażą czterech olbrzymów i ostatniego smoka jaki jeszcze pozostał z bajecznych dziejów ludzkości.

Totus, to owe Eldorado, które w przechodzie widział Martinez, ale potem nie mógł go odnaleźć, bo mu jakós wzrok przytępił po policzku jaki mu Perez della Ribeira wyciął.

Totus, to ów gwóźdź Majmonidesa, co ujęty w lewej ręce pomiędzy wielkim a wskazującym palcem, brał na siebie wszelkie najpowabniejsze postacie o jakich człowiek zamaryć może.

Totus, to oko dyamentowe, które Portugalczycy wydłubali z takim trudem bożkowi Shiwie w Goa, żeby potem je uronić w morzu, przy samych już brzegach kraju rodzinnego.

Totus, to po trzygroszniaku za punkt 50 zlp., po złotówce 500, a po dwa złote 1000 zlp.

I pomyśleć sobie że są szczęśliwce, którzy grają w preferansa po dwa złote punkt i wygrywają!... O preferansie, chwała tobie!

Tys nam jest pocieszeniem w zmartwieniach, tys nam rozrywką w jednostajności życia, tys nam nadzieją po dniu w nudach spędzonym!

I cóż może być piękniejszego, cóż nadobniejszego na świecie, jak cztery twarze uśmiechnięte w około stolika zielonego?—Wszakże przed kilkoma miesiącami cała familia tutejsza, złożona z ojca, matki, córki i zięcia, wpadła na myśl genialną fotografowania się przy tej ważnej czynności, z kartami w ręku, i grupę tę, artystycznie ułożoną, przechowuje jako najmiłą pamiątkę prawdziwie patryarchalnej miłości rodzinnej.

I cóż może być więcej poruszającego, więcej wprawiającego w zadumanie o potędze myśli ludzkiej, jak cztery głosy, skłócone o jaką złą rozgrywkę?

I cóż może być przykładniejszego i więcej nauczającego, jak spotykać co krok w nocy na ulicy jakichś ichmościów rozpamiętujących pomiędzy sobą głośno wydarzenia gry wieczornej.

— Gdybym był tych czterech atu nie zastał!...

— Gdyby mi był Franus nie pokazał fałszywego koloru!...

— Że to ja zawsze na końcu muszę się skapać! Za gorąco gram, ciągle to sobie mówię, i nie mogę się poprawić; trzeba mi się nauczyć chciwości pomiędzy ludźmi.

Aż serce rośnie, kiedy człowiek słyzy takie rozmowy, bo przynajmniej nabiera przekonania, że współobywatele nadaremnie czasu nie tracą, i że zawsze korzyść kraju stanowi tło myśli ich i działań.

Doprawdy, z niczego kraj więcej odnieść nie może korzyści, jak z wytrawienia się w grze preferansowej członków społeczeństwa!...

Pisaliśmy dawniej o sprowadzaniu robotników rolnych ze Szlaska, Czech i t. d., i powiedzieliśmy szczerze nasze o tej czynności zdanie. Dzisiaj z większą już daleko pewnością, bo na zupełném przekonaniu opartą, możemy potępić ten środek i nazwać go nietylko niewczesnym, ale najzupełniej szkodliwym. Mnóstwo skarg jest już podanych przeciw tym robotnikom, mianowicie o złodziejstwo i zbiegostwo; sami czytaliśmy te skargi. Że robić nie chcą, to nie dziwnego, bo nie umieją, bo to nowa dla nich rzecz; są to po większej części wyrzutki z różnych rzemioł, co dlatego chętnie przeniesli się tutaj, że na miejscu nie chcieli im się robić, że tam nikt zresztą używać już ich nie chciał, przekonawszy się o ich niezdolności, lenistwie i innych jeszcze wadach. Tutejsze strony wydawały im się złotodajną Ameryką, gdzie chleba po uszy, roboty mało i łatwość zarobku bez pracy. Sami komissanci zresztą zwabiali ich nęcąciami opowiadania. Po przybyciu na miejsce, kiedy nastąpiło smutne rozczarowanie, kiedy się przekonali że wszędzie pracować trzeba, jeśli się dawniej używanych i

(*) Michał Czajkowski: Szwedzi w Polsce.

dobrze sobie znanych sposobów. Wielu z nich więc, nakradłszy tu i owdzie, pódciękało, a sprowadzając, mądrzy po szkodzie, gonią teraz wiatr po polu. Czy to poprawi innych, czy potrafią z cudzego doświadczenia korzystać? Wątpię. U nas każdy przekonać się musi na swojej skórze, doświadczenie własnym opłacić kosztem; taka to już u nas nieszczęśliwa zasada postępowania, i ta nas właśnie zgubiła.

Niestety! pisze do nas korespondent z Kobryńskiego, lubo pokoleniu młodemu to tu, to owdzie podają rękę, co je ma podnieść i wskazać wyższe cele dla których Bóg powołał je do życia, lubo w wielu miejscach działy dostatniejszych rodziców tej zimy oswoiła się z elementarzem; wszelako z drugiej strony dla tych rodziców, gęściej aniżeli roku zeszłego, pootwierano karczmy. A może to uczyniono na wzór instytucji Helotów w Sparcie, w celu podzielenia zbawienia na młodociane umysły, starając się naocześnie przedstawić im szpetność opilstwa na własnych ich ojcach i matkach? może w mniemaniu właścicieli tych świątyń Bachusa cel uzacnia środki? Nie wiem co ich pobudza do skwapliwości w wyzyskiwaniu tych brudnych źródeł dochodu, wszakże to pewna, że w powiecie kobryńskim liczba karczem na rok bieżący o wiele jest większą od przeszłoroczną. Człekolubni starsi bracia, wpajają w młodszych ten jad, zabijając możliwość przebudzenia się do wschodzącej dla nich swobodniejszej przyszłości. Zdaje się jakoby chcieli już w zaraniu tej nowej doby usnąć ich snem obmierzłym, by w znikczemniałych wiekowej niewola duszach, nie wyrobił się smak do czegoś lepszego, by oszołomieni nie zdolali obejrzyć się w około siebie, poznać i pokochać prawdę, poczuć się synami wspólnej matki...

Czy to nie wstyd zastawiać sidła komuś na ulowienie jego grosza? czy nie barbarzyństwo podstawić ślepemu nogę, by zawadziwszy o nią upadł?

Karczmy są temi sidłami dla biednych chłopów. Sami oni wprawdzie uznają że ich wódka gubi, lecz winę i odpowiedzialność przed trybunałem sumienia zwalają na panów, którzy postawili karczmę wśród ich skromnych chat, zbyt silną rzucili pokusę niemającym w sobie wyższych pobudek ku wstrzeżeniu. Niejednokrotnie dalo mi się słyszeć: „Niech panowie karczmy pozamykają, to my pić przestaniemy.“

Zamknijcie więc karczmy, panowie! przynieście jeszcze i tę głośno po was wymaganą ofiarę! Jest to warunek konieczny, jeżeli chcecie by zamiary jednozgodnie przez was objawiane pomysły uwieńczył skutek.

Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu przysłało patenta na członków następującym u nas osobom: hr. Andrzejowi Zamojskiemu, K. Wł. Wójcickiemu, I. J. Kraszewskiemu, Julianowi Bartoszewiczowi, W. A. Maciejowskiemu, doktorom Janikowskiemu i Natansonowi; zaś Maciejowski Franciszek za swój wykład prawa rzymskiego otrzymał od akademii jagiellońskiej stopień doktora.

Cóż mogę odpowiedzieć na list pani C. A., która mi wyrzuca żem owę żebaczki z chorą dzieckiem, o której niedawno wspominałem, nie przysnuł do wyznania że to nie jej dziecko? Mogę tylko wskazać że żebaczka ta stała na ulicy Senatorskiej, naprzeciw kościoła reformatów. Ale takich żebaczek uwiija się mnóstwo po najludniejszych ulicach naszego miasta, a każda z mniej więcej chorą dzieckiem na ręku. Nie dawniej jak wczoraj na Senatorskiej ulicy spotkałem ich sześć. Zmieniają one swoje dzieci, jak którejś dogodniej; bo dzieci, to dla nich sztyd, to wystawa sklepową, to kapitał, z którego procent ciągną. Ale na miłość Boską, drogie panie, tyle was jest zajętych filantropijnymi czynnościami, tyle was należy do towarzystw, pod nie wiem już jakimi nazwami, jakże możecie żądać od biednego kronikarza, który sam ma niemało do czynienia, żeby się dowiadywał z kąd żebaczka wzięła dziecko? Przytaczam gdzie ją spotkałem; może ona stoi dotychczas w miejscu które wskazałem, albo też gdzie w bliskości. Niechaj się więc tym zajmą ci albo te, do których to należy. Powinnością prassy jest tylko wskazywać nadużycia, a jeżeli tej powinności sumiennie dopełni, to i tak bardzo wiele już będzie miała do czynienia.

Widzieliśmy w tych dniach przesliczne fotografie, pochodzące z pracowni p. Lewickiego, b. dyrektora części artystycznej Tygodnika Ilustrowanego. Pan Lewicki, będąc sam utalentowanym rysownikiem, do wiadomości potrzebnych w ogóle fotografowi, łączy wysokie pojęcie artystyczne, i tym sposobem prace wykonane przez niego przechodzą już w dziedzinę sztuki. Szczególniej większe portrety robione przez niego zasługują na uwagę. A trudniejsze one daleko, bo wady i niedokładności nierównie silniej w nich wydatnieją, aniżeli w małych.

Wiemy również że i p. Fajans ma zamiar otwo-

żyć wkrótce zakład fotograficzny, wykwinnie bardzo urządzony. Próby jakieśmy oglądali odpowiadają wszelkim wymaganiom sztuki.

Dowiadujemy się w pewnej czytelni, założonej kosztem obywatelskim, podróż do Włoch Kremera leży jeszcze z nierozzerzniętymi kartkami, ale za to sztuka robienia pieniędzy i podejrzaną sławę romanse nader są poszukiwane i nie mogą starczyć żądaniom. Nie przemawia to wcale za usposobieniem moralnym członków tego towarzystwa, i jeżeli taki ma być skutek założenia czytelni, to lepiej było nie zakładać jej wcale. Wszak mówimy głośno, że pragniemy kształcić lud. Ale chcąc kształcić kogoś, trzeba być samemu choć troszeczkę ukształconym, bo inaczej będzie to wiecznym powtarzaniem bajki o Marcynie, o którym wiecie że z bardzo lichym skutkiem drugiego Marcina uczył.

Nie bądźmyż ciemnymi, jak owi dwaj przyjaciele, z których jeden umiał czytać, a drugi nie. Zdarzyło się że ów nieuk odebrał list jakiś sekretny. Idzie więc do swojego przyjaciela, lecz chcąc żeby się nie dowiedział o treści listu, zatyka mu oczy i każe czytać głośno co się w nim znajduje.

Świetny zaiste pomysł! Ale co się tu dziwić ciemności ludu naszego, kiedy my z siebie dajemy zły przykład. W niektórych domach już kalendarze nowoczesne uważają za nazbyt uczone i skarżą się że tam tyle niepotrzebnych kwestyj jest dotkniętych, że od literatury opędzić się można.

Oj, ta literatura, ileż to ona nas kosztuje! Nie dalej szukając, sprowadzono niedawno do restauracji kucharza Francuza; dzisiaj ten kucharz uzyskał już posadę guwenera, z pensją 3000 złp. na rok. Bardzo to pożyteczne dla dzieci, bo jeżeli się nauczą błędnie mówić po francuzku, to przynajmniej za to nabiorą jakieś pojęcie o indyku z trullami i siupremach z drobiu z angielskim sosem. Toż samo się zdarzyło ze wszystkimi subretkami sprowadzanymi z zagranicy przez hotel Europejski, dla obsługi dam do niego przybywających. Subretki te, złotem opłacane, guwernantują już tu i owdzie dzieciom polskim, ciesząc się z nową Kalifornią, która się dla nich w głupstwie naszym odkryła.

Za to w Galicyi zebrano już na pomnik dla Stefana Czarnieckiego aż dwa złote reńskie! Jeżeli dalej tak składka pójdzie, można przypuszczać że przy dobrej woli ogółu, za tysiąc lat zbierze się dwa tysiące złotych, i Czarniecki będzie miał pomnik. I nawet daleko to lepiej, bo jest nadzieja że sztuka wówczas postąpi u nas, więc i pomnik będzie piękniejszy. — Widzicie że każda rzecz ma swoją dobrą stronę.

Jako wiadomość pożądaną dla tych, którym niedziela bez gazet nieraz zbyt długą się wydaje, donosimy że od 13 kwietnia r. b. wychodzić ma pismo tygodniowe pod napisem *Kurier niedzielny*. Redakcyą tego pisma obejmuje pan Aleksander Niewiarowski, a lekkie i dowcipne pióro jego najlepiej zdaje się odpowie trudnemu zadaniu streszczenia w jednym dniu całotygodniowego ruchu.

Na polu wydawniczym pierwsze zawsze miejsce zajmują książki przeznaczone dla ludu wiejskiego i dla klaszarniczych.

„Biblioteki podręcznej nauk moralnych i politycznych“ p. Karola Forstera (o której wspominaliśmy już dawniej), wyszedł niedawno tom szósty, p. n. „Ekonomia, czyli środek przeciw ubóstwu“, przekład z francuzkiego p. Mézières. Publikacya tego rodzaju jak przedsięwzięta staraniem p. Forstera, który nadto wydawane przez siebie dzieła w znacznej ilości rozdaje bezpłatnie klasom pracującym, niezawodnie bardzo są pożyteczne i ze wszech miar zasługują na poparcie; wiele tu jednak zależy od trafnego wyboru przedmiotów. Z dotychczas wydanych tomów chyba tylko „Przewodnik moralności“ i „Dla każdego kto z pracy żyje“ uważamy (z niektórymi zastrzeżeniami) za odpowiednie celowi zaszczerpienia oświaty i zdrowych pojęć między klasą rzemieślniczą. Inne stanowią raczej biblioteczkę podręczną dla ludzi z pewnym już wykształceniem, pragnących małym kosztem i zachodem obeznać się powierzchownie z kwestyami ekonomicznymi. Nie jesteśmy jeszcze tak bogaci, abysmy w pracach terażniejszych, jedynie przyszłość mogli mieć na celu; nam trzeba skutków rychłych, natychmiastowych, zasiewów z którychbyśmy sami doczekali plonu. Prosimy więc nadal szanownego wydawcę o taki wybór, ażeby zbiór jego stał się rzeczywiście dla klas pracujących przystępnym; ludziom zaś dobrej woli przedsięwzięcie jego szczerze polecamy.

W osobnej odbitce ukazały się w tych dniach „Gawędy warsztatowe“ p. Adama Wislickiego, po większej części drukowane już poprzednio w Czytelni Niedzielnej. Autor w przedmowie zapowiada ciąg dalszy, mający obejmować prace jeszcze drukiem nie ogłoszone. Książka ta, kosztująca tylko 20 groszy, za-

sluguje na rozpowszechnienie między rzemieślnikami i robotnikami wszelkich zajęć.

Nakładem redakcyi Roczników gospodarstwa krajowego wyszedł „Krótki zbiór historii polskiej“, opowiedzianej podług najnowszych źródeł. Potocznie napisane i tanie, (za zł. 1 gr. 20 nabyć je można we wszystkich księgarniach warszawskich), dziełko to zaradza po części oddawna czuć się dającej potrzebie elementarnie ułożonych dziejów naszego kraju.

Pobieżny ten przegląd niektórych wydań popularnych zakończamy wzmianką, że pan Aleksander Nowolecki, księgarz warszawski, ogłosił prospekt na szereg tanich książeczek dla ludu, z drzeworytami. Publikacya ta obejmować będzie: w oddziale piérwszym „Książeczki obrazkowe;“ w drugim „Obrazki historyczne;“ w trzecim „Gawędy księdza proboszcza pod lipami.“ Wydawca zapewnił sobie pomoc niemal wszystkich naszych pisarzy ludowych; sądzimy więc że przedsięwzięcie jego dobrze przez ogół zostanie przyjętym.

Nakładem tegoż księgarza wyszedł zeszyt V (wyrywkowy) „Węgier pod względem historycznym, literackim, artystycznym i społecznym;“ przekład z M. J. Boldeny'ego, wraz z poglądem na stosunki tego kraju z Polską, Austryą i innymi mocarstwami europejskimi. — Zeszyty III i IV, z powodu niewykończenia w Paryżu na czas galwanicznych kopij drzeworytów, ukażą się nieco później.

M U Z Y C Y U K R A I Ń S C Y .

Załączony tu rysunek wyobraza muzyków ukraińskich. Ci ludzie nie są grajkami z professyi; są to w większej części wieśniacy, trudniący się pracą około roli, jak i drudzy. Posiadają ucho bardziej muzykalne, uczą się na domowej roboty instrumentach (najczęściej bez pomocy obcej) sztuki grania i rzepołą energicznie kozacki. Zamawiają ich na wesela, traktują hojnie, płacą niewiele, i bywa najczęściej iż pod koniec biesiady znużeni tancerze wraz z pijaną muzyką zasypiają, uścielając pokotem sien, chatę i obejście. Bardzo charakterystycznie opisał wiejskich muzyków pisarz małoruski Osnowianenko w jednej powieści swjej pod tytułem: „*Marusia*.“ „Troista muzyka rnie od ucha, skrzypią skrzypce, brzęczą cymbały, a zamiast basetli, sam skrzypek podhukuje i emoka. Rozbukaly się nasze dziewczęta. Wystąpiła para jedna, za nią druga—i poszły w *drybuszki*. Tupczą nóżkami, brzęczą podkówkami, to się pobiorą za ręce i okręcą, to znów się rozejdą i jak kaczki popłyną równiutko,—obracają główkami i znów w *drybuszki*... Już się i pomęczyły, ocierają twarze chustkami, jużby dla nich i dosyć, bo i drugim chce się wystąpić; ale cóż? muzyka rnie a rnie, nie przestaje... Już jedna z dziewcząt, Odarka Makotrusiwna, ledwie nogami płacze, a pot gradem z niej ciecze, już prosi muzyki: „Dość już... dosyć-że już diadku, przestańcie... już nie mogę dłużej...“ Ale cóż? muzyka rnie a rnie... Nakoniec skrzypek skończył i skrzypką prosił o wódkę. Ot przestaly i dziewczęta, poklonily się muzykom i zmieszaly z tłumem. „A no, *horlyci!* huknął Denys Dekanenko, roztrącił kulakami zebrane koło, szarpnął ku sobie z tłumy Pażkę Lewkusiwnę, stanął z nią i czeka aż poczęstują muzykę. Rozstawił nogi, wziął się pod boki, czapka na nim wysoka z siwych baranków, z pasowym sukienym wierzchem, osadzona na bakier, wąsami pomruguje, wzrokiem dokoła wodzi i przemawia: „Ot to! wyrwałem się do tańca, a może nie potrafię! trzeba było poduczyć się u krzywego Chomy, co to chodzi na kuli.“ „Ot tak! prawda że ten nauczyłby, sam chodząc na jednej nodze.“ Jowchym Perepyłycia śmieje się, aż mu lzy pobiegły z oczu i rzecze: „Jego tylko słuchaj.“ A Denys stoi, jakby nie o nim była mowa i ani się uśmiechnie. Wtém muzyka, ucęstowana wódką, ucięła *horlyci*. Gwałtu! jakże się rozchodzi nasz Denus! Licho go wie z kąd potrafi tak tańcować? Jak się puści w *prysyudy*, to ziemi nogami nie tyka, na kolanach pełźnie, przez głowę się przewraca, skoczy, kłaśnie, świsnie, że aż w uszach zalaszczycy; to znów weźmie się pod boki i rnie tropaka, ale takiego, że aż ziemia huczy. Potém jak zacznie wyrzucać nogami, to zdaje się że mu je powylamywano... i znów podskoczy—i znów w *prysyudy*, wije się kółkiem około Pażki i przyspiewuje:

Oj diwezyna horlycia,
Do Kozaka hornecia!
A Kozak jak oreł,
Jak pobaczyw, taj i wmer!

Tadeusz Padalica.

OBRAZY KRAKOWSKIE.

(Dalszy ciąg.)

Ogrodnicy.

W zachodniej stronie Krakowa leżą wsie: Czarna, Nowa i Łobzów, zamieszkałe przez włościan zwanych Ogrodnikami. Należą do tej ludności niektóre także osady mniejsze, jak: Gramatyka, Kawiory, oraz po części wieś Krowodrza, których mieszkańcy trudnią się również ogrodnictwem.

Już sama przyroda wskazała włościanom tu zamieszkałym, jakiemu rodzajowi pracy oddać się powinni; ziemia tu bowiem czarna, tłusta i bujna, zręczną ręką ułożona w długie, szerokie, połokragłe zagony, bogato wynagradza trudy uprawy.

Poobydwustro-nach gościńca bi-tego ciągną się domostwa i pola chróścianemiplo-tami dokoła ogród-zone. D o m y wprawdzie drewniane i strzechą poszyte, ale porządnie obielone, z oknami o wiele większymi jak zwykle w chatach wsi naszych; pomiędzy drogą a płotem płyną sztucznie zaprowadzone kanały, zasilane czystą wodą z rzeki, tworząc przed każdym z domów czworokątne, ocembrowane zagłębienie w kształcie studzienki. Kanały te służą do opłukiwania warzyw wydobytych z ziemi i do skrapiania w czasie suszy ogrodów.

Przed domem mały ogródek różnemi kwiatkami zasadzony. Czerwienią się piwonie i goździki, złocą nagietki, ulubione kwiaty ogrodniczek. Nie braknie żółtych lilij i białych narcyzów, a wszystkim królują słoneczniki, z dawien dawna panujące ogródkiem tutejszym. Przed kilkunastu laty wdarła się także w teskromne siedziby dumna zamorska georginia; słonecznik pozołkł jeszcze bardziej z zazdrości i odwraca się z gniewem od nieproszonych przybyszów, przecież nie ustępuje im pierwszeństwa i jak się zdaje nie ustąpi nigdy. Niemniej ważną choć skromną rolę grają tu wonne zioła: rozmaryn, józefek (*hyssopus*), estragon, włoska mięta i bylica. Znajdą się także pantofelki matki Boskiej (*aconitum*) i dzwoneczki (*digitalis*), a i pokrzyw nie braknie, boć jak mówią, złego siał nie trzeba, zejdzie samo!

Pole obok domu leżące i wybiegające daleko w tył, zowie się tutaj ogrodem, i słusznie, bo na polach tych nie sieją nigdy zboża, choć wsie okoliczne złożą się

od pszenicy i srebbrzą od żyta. Ogrodnicy zamało grun-tów mają, aby mogli używać go pod siew zboża.

Od pierwszego zarania wiosny, aż do spadnięcia śniegów, ziemia na chwilę niema spoczynku. Hodowana w inspektach rozsada, oczekuje przyjaznych promieni kwietniowego słońca, ażeby przenieść się z tych pałaców zimowych na letnie mieszkanie pod gołe niebo... Bujne też zagony, ciąglą zielonością odkryte, nader miły i pełen różnaitości przedstawiają widok. Karczochy, kalafiory, rzodkiewka, pietruszka, sałata, ogórki, kalarepa, kapusta, stanowią tło różnocienistego zielonego kobierca, a na nich ujrzysz roz-

cie. Matka Boska częstochowska główne miejsce zajmuje. Płonie przed nią zawsze lampka napełniona oliwą, a za obrazem zatknięto palmę z kwietnięj niedzieli, gromnicę w kwiaty przybraną, kropidło wielkanocne srebrnymi okręcone sznurkami i ziele święcone. W kącie stoją łózka gospodarzy i dzieci, nasłane wysoko pierzynami, skrzynia na wysokich nogach pomalowana w jaskrawe kwiaty, stół jeden lub dwa i kilka zydłów, czyli stołków starożytnego kształtu. U stropu żerdzie z zeszlami kłociami kukurydzy i mnóstwo worczków z nasionami uzupełniają przy-branie. Obok izba druga z małym dla bezpieczeństwa

oknem, zwana komorą, gdzie jest spizarnia gospodarstwa, a w skrzyniach odświeżone szaty, kora-le i w jakiej skrytce gotowizna. Przy wnijsciu do pierwszój izby zawieszona kropielnica z święconą wodą. Na drugiej stronie izba czeladnia, z piekarnią, licho usprężona; obok domu stajnia, obora, wozówka i parę chlewików, ot i całe gospodarstwo.

Włościanie pod szerokimi słomianymi kapelusami własnej roboty szukają ochrony od skwaru słonecznego i deszczu; zmuszeni dzień cały przepędzić na zagonie, sadzą, pielą, okopują lub polewają. Jeden kawałek ziemi, wydawać musi przez całą porę piękną z kolei coraz inne warzywa i ciągłych dostarczać zbiorów; ziemi ani chwili próżnować nie wolno.

Kiedy nadzie odwieczerze, wychodzi cała rodzina i czeladka w ogród i wybierają co potrzeba na targ jutrzejszy. Skoro zbiór napełni szerokie osenkowate kosze, kobiety płuczą je przed domem, aby wszystkie warzywa czysto, świeżo i ponętnie przedstawily się kupującym; inne stojące nad brzegiem układają je w koszach z symetryą i wdziękiem. Parobcy donoszą wciąż z zagona,

a gospodarz z synem ustawia kosze na wozie. Jeszcze słoneczko rokoszuje się w swoim kryształowym łożu, i brzask jutrzejki zaledwie rozjaśnia purpurowym rumieńcem ciemne ulice Krakowa, a już turkot mnogich wozów przerywa marzenia zaspanym wygodnisiom miejskim.

Toczy się od zachodu karawana wozków, zwykle jednokonných, wycigających się wzajem, a wszystko to dąży na plac Szczepański, plac grający zbyt ważną rolę w życiu ogrodników, ażeby mu nie wypadało kilku wierszy poświęcić.

Plac Szczepański, jest to sobie skromny kawałek zie-



MUZYCZY UKRAIŃSCY. (Rysował z natury Przyszychowski).

zruczone różnobarwne bukiety maku, i w symetrycznych odstępach wysokie piramidy tyczkowego grochu, płonące ognistym kwieciem.

Wnętrze domowe większą schludność przedstawia, aniżeli zwykle chaty naszych włościan, bo też zamozność, praca, powszechniejsza niż gdzieindziej oświata, a osobliwie zetknięcie z miastem, w którym codzień po kilka godzin przepędzają, musiały zbawienny wpływ wywrzć na tę ludność. W każdym domu jest obszerna izba, pięknie wybielona; ściany jej zdobi mnóstwo obrazów niewybrednego pędzla, przybitych pochyló, a przedstawiających same święte posta-

mi, z trzech stron otoczony domami, jak półwysep morzem, a z czwartej stykający się z plantacyami, które, jak wiadomo, zielonym wieńcem otaczają miasto, oddzielając je od przedmieść. Na północ graniczy z kościołem i klasztorem reformatów, na wschód

mężatek, gdzie w świat wprowadzone, uczą się od kum starszych trudnej sztuki życia; tu się odbywają znakomite turnieje ogrodniczek; tu odprawiają weseła i stypy po zmarłych, bo odprawiać je w wiejskiej karczynie, byłoby dla nich ubliżeniem. Zresztą lubię

ryalny gorset, od dołu zdobny organkami (*); na głowie czerwona kwiecista chustka, zausznice złote z granatkami, kilka sznurów wielkich, kosztownych korali na szyi, siedzi i palcami zdobnymi w srebrne pierścienie z koralowemi oczkami, łuszcze strączki i grochu



OGRODNICZKA KRAKOWSKA. (Układ i rysunek Kostrzewskiego).



OGRODNICY W STROJU ODŚWIĘTYM. (Układ i rysunek Kostrzewskiego).

z dwoma domami niegdyś ważnymi w jego historii, bo pierwszy, Pacaka, zawierał w sobie kawiarnię, w której wszystkie ogrodniczki pijały kawę; drugi, Tomaszka, sływał miodosytnią. Nieboszyk Tomaszek ukochanym był od ogrodników, miał zawsze dla nich świeżą tabaczkę, stoczki dla ich żon, a pierniki dla dzieci; to też scisk był w jego miodziarni, gdzie odbywały się także obchody weselne, na których królowała gruba a niska siostra niełoszyczka, znana pomiędzy całą ludnością ogrodniczą pod imieniem ciotki. Od południa do placu Szczepańskiego przytyka teatr narodowy, wystawiony przez Jacka Kluszewskiego, starostę brzegowskiego, a odnowiony z rozkazu rządu byłej Rzeczypospolitej krakowskiej, tém zaś osobliwy w dziejach budownictwa, że w czasie restauracji onego, po wyprowadzeniu dopiero nowych murów, dawano pod nie dla wzmocnienia nowe fundamenta; dalej idą domy s. p. Estrejchera i tak zwany pod Panem Jezusem, gdzie niegdyś był sławny szynk, który mniej zamożni ogrodnicy najmowali na salę weselną, nie śmiać do Tomaszka zapukać. Przed siedmziesiątą laty stały na placu Szczepańskim dwa kościoły: parafialny św. Szczepana i św. Macieja. Za pierwszych rządów austriackich, od r. 1795—1809, w ciągu których rząd sprzedawał lub zburzył 17 kościołów, obadwa zostały zniszczone.

Rozgadałem się może za długo o placu Szczepańskim, który w latach 1814—15 nosił nazwę placu gwardyi narodowej; ależ bo on jest nader ważny w życiu ogrodników. Tu oni spędzają, jak wspomniałem, połowę prawie życia; tu się dorabiają majątków; tu się poznają częstokroć młode pary przyszłych małżonków; tu jest niejako salon recepcyi dla młodych

ten plac, bo przepędziłem dwanaście lat dziecinnego wieku w jednej z kamienic na północnej jego stronie, przez której okna na plac wychodzące robiłem pierwsze spostrzeżenia psychologiczne nad życiem ogrodniczek i uliczników tutejszych.

Na tym tedy placu, pod przenośnymi daszkami,

odrzucając w kosze łuskwiny, aby ich potem użyć na pokarm dla trzody. Kupujących jeszcze mało, bo zwykle o tej porze zaopatruje się w żywność tylko najbiedniejsza klasa przedmieść, lub skrzętne i oszczędne gosposie, mające wielu domowników, przybywają nakupić zielenin i warzyw. O tym czasie zgoda łatwiejsza, bo ogrodniczki jeszcze nie miały sposobności posprzezać się z sobą i miła między nimi harmonia panuje, a rzecz wiadoma że gdy kupiec w dobrym humorze, to taniej i lepiej sprzedaje.

Wiele też naszych bohaterek, pozostawiając towar pod dozorem najbliższej sąsiadki, zaprasza kumoszkę na szklaneckę kawę, ten ulubiony napój kobiet wszelkiego stanu. Niegdyś za 4 grosze można było się uraczyć potężną szklanicą, dziś kosztuje 6, a nawet i 8 groszy. Przy tym częstunku gwarliwa rozmowa, wzajemne wypytywania, zwierzenia się, pociechy, serce otwiera się dla serca i najtajniejszy sekret familijny nieraz doleci ucha obojętnego słuchacza, powódź przyjaźni zalewa częstujące się kumoszki, duch jedności panuje nad nimi, i mimowoli myśl świadka unosi w czasy pierwszych rodziców.

Ale niestety, raj ziemski był krótkotrwały; to też i te serdeczne przyjaciółki lada fraszka śmiertelnie poróżnić może. Jedno słówko dostatecznym jest ażeby zgubny pożar rozniecić i słodkie oświadczenia przyjaźni zamienić w długą i zawziętą kłótnię. Wtedy



„Ja jestem Zapust, mantuńskie książe.“ (Układ i rysunek Kostrzewskiego).

rozpostarli się szerokim obozem ogrodniczki. Z po za piramidy koszów, czerwieniejących rzodkiewką, bielejących szparagami, zieleniących sałatką, wśród nadobnych stert ogórków, siedzi poważnie gosposia, ubrana w kwiecistą spódnicę, krótki sukieny lub mate-

wzburzone przeciwniczki, zwyczajem homerowskich bohaterów, srogie miotają na siebie przed rozpoczęciem bitwy obelgi, najdrobniejsze szczegóły z biogra-

zburzone przeciwniczki, zwyczajem homerowskich bohaterów, srogie miotają na siebie przed rozpoczęciem bitwy obelgi, najdrobniejsze szczegóły z biogra-

(*) Fałdziki rurkowate, otaczające stanik dookoła.

fii dwóch rozsierdzonych wychodzą na jaw, dopiero usłyszany sekret przy szklaneczce kawy służy za broń i rozbiega się po całym placu. Płyń potok wyrazów, o jakich nietylko Linde, ale nawet wydawcy słownika wileńskiego nie słyszeli; obie strony coraz bardziej się zapalają, sąsiadki przechodzą pod sztandar jedną lub drugą, kłótnia dobiega swego szczytu, następują gwałtowne gesta, pogroźki i walka, na którą lepiej spuśćmy zasłonę.

Nie sądz jednak, czytelniku, ażeby pożar wojny trwał tak długo, jak domowa walka Yankeesów, co gwałtownym bucha płomieniem; gdy jedna z przeciwniczek zostanie pokonana, walka ustaje. Neutralna ogrodniczka bierze na siebie pośrednictwo i przy butelce portera lub wina staje pokój na wieczne czasy, który znów na drugi dzień ulega przedawnieniu.

Niegdyś zwady i walki zdarzały się częściej; policja wolnego miasta, zwłaszcza w pierwszych latach jego istnienia, była bardzo łagodną i ile razy wdała się w interwencję, zawsze wychodziła z porażką, gdyż wojujące strony zawierały natychmiast traktat, uderzając *viribus unitis* na wspólnego nieprzyjaciela. Dziś jest to rzeczą niepodobną, bo policjanci porzucili patryarchalne laski, a ogrodniczki niewypowiedziany wstręt czują do dzisiejszej armatury, zwłaszcza od chwili gdy przed szesnastu laty dwie z nich, wzięte za burzycielki porządku publicznego, padły na Szczepańskim placu śmiercią walecznych.

Ogrodniczki namiętnie lubią przysmaczki i napoje. Mężowie, siedząc przy pracy w domu, marnotrawstwu żon zapobiedz nie mogą, a nawet nie śmia, gdyż pomimo danych nieraz dowodów mężstwa w spotkaniach wojennych w obec swych Xantyp są bardzo nieśmieli. Ogrodniczka nie naśladuje włościanek z wsi odleglejszych, i rzadko się wydarzy żeby która, chyba już nalogowa pijaczka, weszła do szynku prostego. Wiedzą one dobrze w której cukierni absynt, w którym sklepie przedniejszy porter, a w którym wino, w której garkuchni najumiejętniej pieką gęsinę. Tę marnotrawstwem słyną one szeroko i dlatego też same o sobie śpiewają:

Ogrodniczka wraca,
Ale się potaca;
Kiecka (**) ję się wzdyma,
Bo w niej czeskich (***) niema.

Sposobności do tych pohulańek nigdy nie zabraknie. Główną podniętę daje stosunek kmoterski; wszystkie prawie rodziny są między sobą powiązane tem pokrewieństwem duchowem, a to daje powód do nieustannych wzajemnych częstunków. Bo i jakże, zszedłszy się z kumą, nie poczęstować ję, jakże znowu kuma nie ma się za tę grzeczność odplacić? Piosenka przez nie same śpiewana najlepiej ten stosunek maluje.

Zeszła się jedna z drugą,
Miały rozmowę długą,
Po tej rozmowie długiej
Tak rzekła jedna drugiej:
„Smutno jakoś w czubeczku,
Wypijmy po kubeczku.“
Skoro dziesiąty kubek,
Zagrzał się babom czubek.
Jak się kumy popiły,
O mężów się swarzyły,
Jedna drugiej gadała:
„Tyś na mego patrzała.“

albo tę drugą:

Kumosia kumosi
Gorzałeczkę nosi,
Jakże niema nosić
Kiej ją o to prosi.

Dziwna rzecz w istocie, że parobczak żwawy, który nie uleknie się w bitce kilku przeciwników, że gospodarz który umie w przyzwóitęm poszanowaniu utrzymać dorosłych synów i parobczaków groźno traktuje, w obec swojej pani staje się łagodnym jak baranek, a gdy na horyzont małżeński brzemienne piorunami chmury zaciągną, naciska biedak swój słomiany kapelusz na uszy i wynosi się w ogród jak najdalej, szukając na łonie przyrody wytchnienia i pociechy. Ba, cóż się dziwić? historia, nawet i nasza, uczy, że najgroźniejsi wojownicy, przed którymi drżeli nieprzyjaciele, byli zamilowani w ogrodnictwie, a nawet Jan III, pogromca bisurmanów, w Willanowie sadził drzewa.

Kiedy nadejdzie dzień świąteczny, wszystko przybiera postać zupełnie inną: chaty stroją się w bukiety kwiatów i zielone gałązki; mężczyźni wdziewiają

granatowe długie kapoty, kościuszkowskim krojem, z wykładanym, śpiczasto z przodu zakończonym kołnierzem, taśmami i potrzebami obszyte, rzesisto faldowane z tyłu. Pod sukmanę podwdziewają kaftan granatowy, czerwonym sukmem z przodu podszyty i mnóstwem guzików zdobny. Szeroki pas z ciemnoczerwonej skóry, na kilka a nawet kilkanaście sprzążek i rzemyków zapięty; za tym zatknięta porcelanka na krótkim cybuszku, z zielonemi kutasikami; na głowie kapelusz z szeroką aksamitną czarną wstęgą, ozdobioną dużą sprzążką i złotemi franzlami; spodnie w paski niebieskie lub czerwone; wysokie buty z wygłansowanemi naksztalt używanych przez księży cholewami; na szyi czerwona bawełniana chustka, w kwiaty zielone i czerwone, i druga także czerwona, lecz fularowa, uwiązana u pętlicy kapoty jednym końcem, i puszczone wolno,—dopełniają stroju świątecznego.

Kobiety noszą kwieciste bawełniane, wełniane, a nawet na wielkie święta adamszkowe jedwabne spódnice; fartuchy muslinowe lub tiulowe kosztownie haftowane; gorseciki sukienne, z przodu głęboko wycięte, z kołnierzem na wzór pelerynki dokoła wywinietym, zapiętym z przodu na guziki, w około zaś u dołu opatrzone odstającym karoczekiem, ułożonem w osiemkowane faldy zwane organkami; na szyi korali kilka sznurów, z których środkowe dochodzą niekiedy wielkości małych włoskich orzechów, związanych szeroką wstęgą, najczęściej czerwoną, z długimi, puszczone na dół szarfami. Trzewiki na wysokich wążuchnych korkach, zabytek mody dawnych czasów, z materyi jaskrawej, przeszywanej złotem; na głowie ogromna chustka muslinowa biała, rzesisto haftowana, tak związana, że dwa końce przednie tworzą wielką kokardę, a z drugich dwóch misternie ułożony czubek, spada ku tyłowi naksztalt neapolitańskiego mezzaro. W zimowej porze noszą sukmanki barankiem pokryte, zwane przyjaciółkami. Wszystko to pokrywa derowa kraciasta chustka, a w rękę noszą nieodstępny maleńki z wieczkiem koszyczek, w którym noszą pieniądze, książkę do nabożeństwa i chustkę białą.

Tak przybrani, idą z powagą do kościoła na Piasek, gdzie ich parafia. Ulubioną książkę stanowi ołtarz złoty, na którym modlą się, słuchając pobożnie nabożeństwa.

Ogrodnicy wszyscy bez wyjątku są członkami bractwa szkaplerznego i z pomiędzy siebie wybierają starszych, podstarszych i skarbników tego zgromadzenia, co nie do małych zaszczytów należy.

Ziemie bardzo starannie uprawiają, po największej części wyrabiając ją łopata i motyką. Tym sposobem lepiej bywa spulchniona po poprzedniej orce, zwłaszcza że grunta mają zwykle nierozległe; ale to niewiele znaczy, boć mówi ich własna piosenka:

Lepszy zagon na Łobzowie,
Niż gdzieindziej niwa.

O nawóz bardzo troskliwi i przy każdym gospodarstwie znajduje się parobek zwany *gnojarzem*, którego obowiązkiem jest jeździć po Krakowie i gromadzić wszystko co się da na nawóz spożytkować. Fur trzy musi codzień przywieźć, po jednej rano, w południe i wieczorem; jeżeliby tego nie zrobił, traci prawo do posiłku w tej porze dnia, w której powinności nie dopełnił. Zakupują także nawozy po stajniach w mieście i na to pieniądze nie żalują. Starannie też wyrwywają chwasty i zielsko i utrzymują w gruncie wzorową czystość. Ziemia wypłaca się za tę pracę sowicie, bo jak mówiliśmy, kilka plonów na rok jeden zagon wydaje. Oszczędniejsi robią majątki, a o starym Zbroi rozprowadano za rzecz pewną, że oprócz domu, gruntu, i inwentarza, zostawił po sobie sześć kwaterek samych dukatów i garniec talarów.

Obrzędów małżeńskich nie obchodzą z podobnemi śpiewami jak Czernichowianie, bo wszystko tu już jakoś z waszecia; mimo to zachowują wiele sobie właściwych starych zwyczajów. Zaręczyny, czyli jak oni zowią zrękowiny, wesela z oczepinami, przenosinami i poprawinami, suto obchodzone bywają. Nie braknie i tu różnych szczególnych obrzędów, lecz, zwłaszcza w obec miejskich gości, kryją się cokolwiek z niemi. Na każdej uczcie weselnej muszą być nieodstępne piramidy, jedna do stołu, druga do oczepin, a spotkać się na nich z kosztownem i wybornem winem, rzecz niezbyt rzadka.

Z biegiem czasu niknie coraz więcej dawnych zwyczajów, stroje nawet typowe giną bezpowrotnie. W dziecinnych latach widziałem jeszcze parę obrzędów publicznych, w których ogrodniczki udział brały.

W tłusty czwartek obchodzono niegdyś uroczyste *Comber*, święto ogrodniczek i wszystkich prawie przekupek krakowskich. Od świtu samego szynkownie, kawiarnie i sklepy przepelnione były wesołemi kumoszkami, które z wielką gościnnością częstowały się

wszystkiem czem się tylko można częstować. Około południa wleczono z przedmieścia Piasek bałwana słomą wypchanego na sznurze po ulicach miasta, wśród wesołych okrzyków pospólstwa, aż na rynek przed Sukiennice, gdzie go ulicznicy w kawalki rozrywali. Bałwan ten miał nazwę *Combra*, a początkiem tego obchodu miało być następujące zdarzenie.

Przed czasem bardzo dawnym żył w Krakowie wójt nazwiskiem *Comber*, który miał siedzibę swoją na przedmieściu Piasek. Był to człowiek złośliwy i okrutny, mający pod swoją jurysdykcją ogrodników i przekupki krakowskie. Dokuczał im bez litości, karał za najłżejsze przewinienia i wyciskał srogie opłaty, tak iż wielu gospodarzy przyprowadził do ubóstwa, a biedne przekupki do ostatniej nędzy. Turma w jego domu zawsze była napelniona ofiarami. „Pan Bóg wysoko, a król daleko, mawiali nieszczęśliwi; któż nas zasłoni przed Combrem?“ Jednakże przekleństwa pokrzywdzonych dosięgły pana wójta, i w sam tłusty czwartek zmarł nagłą śmiercią. Na tę niespodzianą wieść taka radość ogarnęła cały ród przekupniów, że rzuciwszy kramy na łup gawiedzi ulicznej, poczęli po całym mieście biegać i tańczyć, powtarzając bezprześcannie: *Zdecht Comber, zdecht!*

W ostatki znów gromadka, złożona z ośmiu lub dziewięciu smukłych chłopaków, ustrojonych w guńki i kierpce, a na głowie mających wysokie stożkowate czapki papierowe, z mnóstwem papierowych różnobarwnych wstążek, hulala po placu Szczepańskim, wypiewując różne pieśni. Za niemi uwijał się dziad obszarpany, z długą brodą konopianą, postrach uliczników, miał bowiem w rękę długi bat z powroza, na końcu z wiechciem słomy. Ponieważ w ostatki najczęściej bywa odwilż, więc dziad, wlekąc za sobą bat po błocie, skoro go gromada uliczników obsiadła, kropił w lewo i w prawo, zostawując przeróżne desenie na twarzach napastników. Obydwa te zwyczaje ustaly po roku 1836, kiedy wprowadzono urządzenie policji austriackiej i miejsce dotychczasowych ochotników, zajęli austriacy urlopnicy, którzy nader surowo karcili wszelkie objawy pustoty i przesładowali dawne zwyczaje.

Jednakże niektóre zabytki pozostały jeszcze między ogrodnikami. Jeden z takich zabytków, zakończenie ostatków na Nowej wsi, którego byłem świadkiem, krótko opiszę.

W ostatni wtorek byliśmy zaproszeni do jednego z gospodarzy na Nowej wsi, który wyprawiał sute chrzciny. Nie brakło tam miodu i wina, a główną potrawę zastawnej uczy stanowiła ogromna pieczeń wieprzowa, posypana obficie cukrem i rodzynkami. Starzy gawędzili o dobrych czasach, gosposie chichotały się i rozprawiały żywo; młodzież tylko po kątach szeptała nieśmiało, a dziewczęta pokryły się w komorze, gdyż jak się zdaje obecność kilku mieszczuchów paraliżowała zwykłą wesołość. Wtem około godziny dziesiątej hałas powstał przed domem i w sieni; zwróciliśmy się wszyscy ku drzwiom, a w nich ukazał się parobczak z latarnią w rękę i stuknąwszy trzykrotnie kijem, zawołał:

Z przychodu naszego,
Wstępujemy do domostwa waszego,
Od mantuańskiego ksiądzia,
Od księcia Zapusta,
A pyta jestli u was kura tłusta,
Kawałeczek kielbasy, albo skłanka miodu?
Bo mu się brzuszeczek pokrzywił od głodu.

Gospodarz, odwróciwszy się ku nam, rzekł: Jeśli to panom nie będzie z urazą, albo przeszkodą, tobyśmy mu kazali przyjść, boć tu u nas taki zwyczaj, że parobcy chodzą w ostatki od domu do domu z Zapustem.

— I owszem, prosimy bardzo, prosimy!

Parobczak, usłyszawszy to, zniknął, a za chwilę potem otworzyły się drzwi i wszedł jeden z wásami i z długą brodą, przebrany w kozuch barani przewrócony na nice; na głowie miał wysoką śpiczastą czapkę papierową, ustrojoną choinką i wstążkami różnobarwnymi z papieru, które mu spadały do pasa; trzymał w rękę drewniany toporek. Za nim drugi, pochylony, wspierając się na dwóch kulach drewnianych, od stóp do głowy odziany wielkim kocem kudłatym, głowę miał pokrytą czapką, naśladującą osli łeb, a na szyi dzwonek na rzemyku zawieszony. Trzeci wreszcie, także w wysokiej czapce papierowej, ubrany był w sukmanę, wyszytą wstążkami papierowymi, z kosturem w jednej, a dużym koszem przykrytym w drugiej ręce.

Gospodarz zapytuje pierwszego: Coście wy za jedni? Na to Zapust rzecze:

Ja jestem Zapust, mantuańskie ksiądz,
Idę z dalekiego kraju,

(**) Spódnica.

(***) Czeski, 6 groszy polskich, zwykle w liczeniu używany, jak dydek warszawski.

Gdzie psy ogonami szcękają,
Ludzie gadają łokciami,
A jedzą uszami,
Słońce o zachodzie wschodzi, a o wschodzie
A kurczę kokoszę wodzi, [zachodzi,
Każdy na opak gada,
A deszcz z ziemi do nieba pada!

— A ten drugi, co z tobą przyszedł? pyta się gospodyni.

Uczony osiel, co mieszka w stodole,
Jest profesorem, uczy dzieci w szkole,
Jako zadzwoni żeby wnet skakały,
A półwaterkiem gorzałkę pijały.

Począł stanąwszy w środku, gdy przebrany za
osła skakał dokoła, zaczął deklamować z przesadą:

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Przepuście mi, moja pani matko, żem nieogolony.
Szczęść wam tu pani matko do chałupy,
Na jajka, spérkę i krupy.
Przechodziliśmy wedle chlewika,
Aż tu nas maciora z płaczem napotyka,
I narzeka przed nami ona biedna świnia,
Żeście jój zabili syna.

Jeśli się chcecie zaprzęć, to są dobre znaki,
Bo ano na korycie jeszcze szcęc i klaki.
Weźcie no pani matko noża ostrego,
Napocznijcie tego nieboszczyka pstrego;

A ostrożnie wedle ręki,
Abyście sobie nie zadali męki,
Od boku do boku,

Żeby nam też przybyło w tłomoku.
Bo już mięsopust drzwi zapięra,
To wam się nieboszczyk do krzty stęra.

Dajcie nam też jaj kopę,
To się nasadzimy kwoke,
Żeby wam się kokosze darzyły,
A kurczęta w pokrzywy nie kryły.
Dajcie nam też i garnuszek masła,
Żeby mi się profesoryna upasła.

Dajcie nam co macie dać,
Nie dajciez nam długo stać,
Bo tam księżniczka wygląda,
A za mną po polu ogląda,
I na wszystkie strony odwraca,
Gdzie się też mantuańskie księżę obraca.

Potem śpiewa cały chór:

A sięgajcie do dymnika,
Po tego tam wędzennika,
Dajciez nam tu na łaskę
Chociaż z niego kielbasę,
Choć kawalek zioberka,
Boć na nim tłusta sperka.

Po tej oracyi, gospodarz dał im po szklance piwa
i po szklance miodu, gospodyni ukroiła chleba, ko-
łacza i kielbasy i włożyła do koszyka, który trzeci
parobczak trzymał. Wtedy ucieszeni podarunkiem,
otrzymawszy także od nas po kilkanaście groszy, za-
częli tańczyć w koło i śpiewać:

Zapust, zapust, zapustowe dziecię!
Ucieszcie się chwilę, bo go nie ujrzycie,
Bo go nie ujrzycie, aż na przyszły roczek,
Aże mu od żuru na nic schudnie boczek.

Począł wyniosła się drużyna wesola, idąc na dal-
szy obchód po wsi.

W godzinę potem może, wyniósł ojciec gospodyni
na kiju uwiązane śledzia i woreczek z popiołem,
a gospodyni wniosła miskę żuru (*), już postno przy-
prawionego. Stary, potrząsając śledziem i popiołem,
obchodził izbę dokoła, wypędzając mięsopust. Po-
sprzątało szczątki mięsnej wierzery, zastawiono żur,
a każdy z obecnych przynajmniej skosztował. Os-
bliwszemu temu obrzędowi towarzyszył następny śpiew:

A jakże się miewasz
Mój panie Żurowski?
Będzie cię zajadał
I sam pan krakowski.
Będzie cię zajadał
I sam pan krakowski,
A sprawię ja tobie
Czerwone pończoszki.
Czerwone pończoszki,
Zieloną kapotę,
Będziesz miał Żurowski
Cały post robotę,
Stanieć tej roboty
Do wielkiej soboty.

(*) Żur, barszcz kiszony ze srotu owsianego czyli osypki,
pospolicie przez cały post i adwent stanowi ulubioną potrawę
ludu krakowskiego.

Wstępna środa następuje,
Pani matka żur gotuje,
A pan ojciec siedzi w dziurze,
Jak się miewasz panie żurze!
Wiwat! wiwat! wiwat!

(Dalszy ciąg nastąpi).

MÓJ KWIATEK.

Każdy z mych braci na żywota błoniu
Znalazł przesliczny kwiateczek dla siebie,
Który mu wonią osładza boleści,
Barwami oczy załzawione pieści,
I jest mu światem w domowym ustroniu,
Szczęściem na ziemi, jego świętym w niebie.

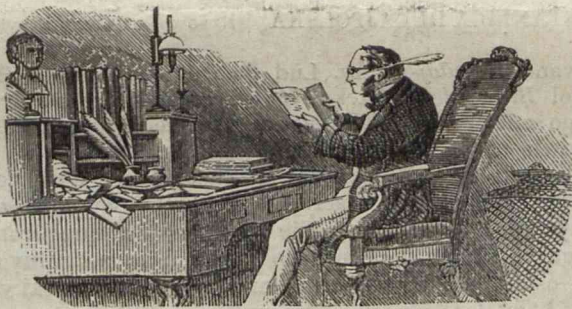
Każdy z mych braci do serca go ciśnie,
Ten kwiat przesliczny co wynalazł sobie,
Co mu był złotą gwiazdeczką w młodości,
Potem najmiłszą bogdanką w miłości,
Potem pociechą i nadzieją błysnie—
I na pamiętkę rozkwitnie na grobie.

Przy moim tylko niema dotąd boku
Takiego kwiatka jakie wszyscy macie,
Ależ dlatego nie załujcie brata—
Mam ja przesliczny kwiat na błoniach świata,
Lecz zmysłowemu nie widny on oku,
Bo nie w zmysłowej objawia się szacie.

Kwiat mój jedyny ja widzę swym duchem
Na ziemi, w słońcu, w gwiazdeczkach na niebie;
Kwiat mój przesliczny—widzę jak rozkwita
Wszędy i zawsze gdzie myśl Boża swita,
We wnętrzu ziemi, czy ponad chmur puchem,
Czy w was o bracia, czy gdy zajrzę w siebie.

Dla was—on jako ciemność nieprzejrzysta,
Bo wy szukacie kwiatów swoich dłońmi,
W mym tylko prawda i sam Bóg spoczywa,
Bo prawdą bracia kwiat mój się nazywa;
A barwą jego—piękność wiekuista,
A miłość—tego kwiateczka jest wonia.

Zygmunt R.



Szanownych czytelników i czytelniczki nasze, tak
w Warszawie jak i na prowincyi lub w cesarstwie,
upraszamy najuprzejmiej o nadsyłanie redakcyi ma-
teryjału do kroniki tygodniowej. Materiałem tym mogą
być wszelkie fakta odnoszące się do stosunków spo-
lecznych i obyczajowych, do literatury, sztuki, prze-
mysłu i t. p. Nie idzie tu wcale o obrobienie stylo-
we, tylko o doniesienie samego faktu, z zaręczeniem
za jego wiarogodność; korzystanie zaś z takich donie-
sień w sposób właściwy, będzie już wyłącznie rzeczą
redakcyi.

Pani F. O. w *Miechowie*. Podanie o szewcu z okolicy dzi-
siejszej Stopnicy, co kiedyś, uchodząc przed zgrają oprysz-
ków, dla omylenia ich pogoni, wdział buty stopami naodwrot,
to jest gdzie palce, tam pięta, z kąd miała pójść nazwa założo-
nego w tém miejscu miasteczka: *stop-nica*, — drukowanem
być nie może.

PAMIĘTNIKI MUCHY

wydane przez Maryą Brzezinę (Zbigniewa).

Wilno 1861 roku.

Pamiętników wychodzi dużo na świecie, a u nas
ich nie brak; pod ten tytuł wszystko się schowa, i
wygodniej nawet pomieści się pod nim, niż pod po-
wieściową draperją, najluźniejszą ze wszystkich, a je-
dnak fałdującą się nie bez wdzięku, nie mówiąc już
o tej workowatej przyodziewce, na podobieństwo dzi-
siejszych paletonów, którą leniwi lub nieumiejętni
przyswoili sobie pod nazwą opowieści lub opowia-
dania. Pamiętniki pisze ten, kto chce uniknąć wszel-
kiej formy, czy to naukowej, czy belletrystycznej, i
nie być za żadną odpowiedzialnym, bądź, jak powia-

dam, przez lenistwo, bądź też przez wstręt do wszel-
kiego ścieśnienia. U nas *pamiętniki* jakoś pod szcze-
śliwą urodziły się gwiazdą; przypomnijmy tylko: So-
plicę, Pantofla, Nieznajomego, Nieboszczyki; wszędzie
tam jest coś do wzięcia, a nawet, jak w dwóch
pierwszych, to i bardzo wiele. Jak to miło, kiedy
brak formy zastąpi się sutą treścią; a gdybyż to je-
szcze w dodatku forma? Ba, myślimy wciąż o arcy-
dziełach.

Przejście od arcydzieła do *Pamiętników Muchy* jest
zapewne zbyt raptownym skokiem, ale niemniej je-
dnak Pamiętniki te są dziełem istotnego talentu. Au-
torka w kształtach eterycznych, po za gazą fantazyi,
przedstawia nam życie rzeczywiste z całą jego suro-
wą prawdą. Przedstawienia jej są na podobieństwo
latarni czarnokształtnej: obrazek płynie czas jakiś, prze-
sunie się i znika, ustępując miejsca drugiemu, który
z poprzednim nie ma żadnego związku. Jednością do-
pięro, jaka obrazki te wiąże, jest jedność myśli psy-
chologicznej, tak iż całe pamiętniki stanowią psycho-
logią *in actione*. Często jeden obrazek zawiera się
w kilkościartkowym dyalogu, z przydatkiem akces-
soryów opisowych; inny rozwija się szerzej, w lic-
niejszej grupie; urwany, powraca raz jeszcze, aby
uzupełnił myśl która go natchnęła. Tyle co do ze-
wnętrznej formy. Żywiołem wewnętrznym jest obser-
wacya i fantazyja, która z rezultatów tej obserwa-
cyi czyni dzieło sztuki. Z życiem ludzkim, to jak
z naturą podłoneczną: kto je chce przedstawić wier-
nie, musi użyć i światła i cienia; życie ludzkie nie
jest ani samem światłem, ani cieniem samym; kto je
przedstawia z jednej strony, ten przesadza. Ale to na-
wet połączenie światła z cieniem nie jest jeszcze na-
turalnem, jeśli wypływa z dowolności, i tu może być
nowa przesada; połączenie to winno wypłynąć nie
z głowy autorskiej, lecz z natury przedmiotu. W ste-
regu istot ludzkich niema takiego poddania się na-
miętnościom, któreby do szczeru zabiło osobę moral-
ną, a pozostawiło tylko żyjący potwór, nie należą-
cy już do żadnej klasy istot, jeśli zaś coś podo-
bnego istnieje, to chyba bardzo wyjątkowo i już wy-
chodzi ze sfery sztuki, a podciąga się pod kategorię
obserwacyi specjalnych, na czém jednakże jezdziło
wyuzdane piśmiennictwo francuzkie ostatnich czasów.
Z drugiej strony niema znów takiej doskonałości, któ-
raby przynajmniej nie uczuwała potrzeby walki oso-
bistej, poprawy, przebaczenia; na tém właśnie zasłu-
ga, na tém spoczywają warunki życia ziemskiego,
w którym materyja jest w każdym razie dobrą po-
łową, wołającą o swoje. Otóż autorka *Pamiętników* po-
trafiła zachować to umiarkowanie, którem zwykle ce-
chuje się prawda, stojąca zawsze pośrodku między sy-
statami krańcowymi. I o tém wszyscy wiedzą dobrze,
tylko że nie każdy trafia na ten punkt środkowy, nad-
zwyczaj trudny do wynalezienia, bo w zagadnieniach
życia ludzkiego niema dlań tak ogólnej recepty, jak
w zagadnieniach geometrycznych na wynalezienie środ-
ka okręgu koła lub elipsy. Mówią dużo na świecie o praw-
dzie bezwzględnej, którą rządzić się mamy. Ale jak
tu to prawo bezwzględności zastosować do życia,
które jest z natury swęj względnością ciągłą? Od me-
tazyki do moralności, jakże to jeszcze daleko! Autor-
ka nasza, przechodząc między apologią i satyrą i z obu
czerpiąc źródła, przedstawia życie jakim ono jest i ja-
kiem będzie do końca świata, to jest dopóki w czło-
wieku nurtować będzie namiętność i zapędzac rozum
i wolę do swęj posługi, dopóki wrodzone elementa
upadku wicherzyć będą natchnienia sięgające do nie-
ba. Cienie które ona przedstawia, nie wyobrażają
zbrodni, ale słabość, tę nieodstępną towarzyszkę czło-
wieka, to główne źródło jego usterków, zboczeń, wy-
kroczeń lżejszych i ciężkich błędów. Wykrywanie sła-
bości jest rzeczywiście najbardziej pouczającym, naj-
więcej budzi zastanowienie się nad sobą, bo dotyka
tego co nam jest wrodzonym, co każdy nosi w sobie;
zbrodnicość jest albo następstwem, albo przypadkiem,
albo wyjątkiem. Nie w jednym obrazku tak dokła-
dnie umiała autorka schwycić główne rysy pewnych
usposobień ludzkich lub sytuacji, iż po przeczytaniu
zdaje się nam, żeśmy tylko co rozstali się gdzieś
z wprowadzonymi przez nią osobami, żeśmy święto-
byli świadkami ich łez i uśmiechu, że codziennie zda-
rza się nam uściśnąć rękę kogoś podobnego, patrzyć
na podobne oblicza wzrokiem czy to społecznym, czy
wyrzutu. W rzeczy samej trudno tam o jakąś figurę
czysto książkową lub przerobioną z drugiej, z kądinąd
nam znaną, choć tu powtórzenie było bardzo łatwem,
bo któraż ze zjawiających się tam postaci nie figuro-
wała już w rozmaitych pozach na literackiej arenie.
Prawda że takie szkice niewykończone, grubo zaryso-
wane, nie mogą iść w porównanie z obrazami roz-
winiętymi, gdzie człowiek, prowadzony ręką autora,
przechodzi wszystkie szczeble drabiny stojącej pomię-
dzy ziemią i niebem; lecz takie jakie są, zalecają się

oryginalnością i prawdą. Tylkoż ten w ostatnim obrazku mąż, służący za listownika między swą żoną i jej kochankiem, co do tego mianowicie szczegółu, nie jest najszczęśliwszą inwencją; rzecz to wreszcie użyta i jakby skopiowana z podobnego obrazka w *Pamiętnikach nieboszczyka Pantofla*, z którymi wreszcie obecne mają blizkie powinowactwo myśli i kierunku, chociaż niczem się u nich nie zapożyczają. Tamte pod względem wykonania mają nad temi po-

tegowoczesnych publikacji naszych w zakresie belletrystyki.

ZŁOTOPÓL.

Na samym krańcu dawniej granicy polskiej, dzielącej ją od Nowo-Rossyi czyli stepów chersońskich, leży nad rzeczką Turiją miasteczko Złotopól. Była tu stannica polska i jeszcze w końcu zeszłego wieku na-

dzis stoi złotopolski kościół, jeszcze w 1791 r. zbudowano kaplicę kosztem śmolańskiego skarbu, jak powiadają księgi kościelne „dla wygody officialistów i wojskowych korony polskiej.“

Dzisiejszy kościółek przebudowany i powiększony został w roku przeszłym, staraniem miejscowego proboszcza ks. Jaworowskiego. Schludny on, ale ubogi. Nie posiada dawnych pergaminów, ani obrazów znakomitego pędzla, bo powstał równocześnie z tymi



ZŁOTOPÓL (STANNICA HULAJPOLSKA). (Rysował z natury Przyszychowski).

niekąd niezaprzeczoną wyższość, ale też wyczerpały one autora (Sztyrmer); te przeciwnie wykazują duży jeszcze zapas sił, które wydobywają się z wolna, jakby sposobiąc się do pracy długiej, rozłożonej. Łatwo wprawemu czytelnikowi przewidzieć, że autorka w *Pamiętnikach* tych wypowiedzająca się przyjemnie, ale dotąd niedość śmiało i pewno, ma jeszcze wiele do powiedzenia. Postęp w jej pracach widoczny, a tę o której mówimy, uważamy za jedną z najlepszych

zywano ją *hulaj-polską*. Lud do dziś dnia zowie Złotopól *Hulajpolem*. Rzeka Wyś przedziela go od drugiego miasteczka, położonego na przeciwnym brzegu i zowiącego się Mirhorodem. Dlaczego nazwano tę małą mieścinę Hulajpolem i Złotopolem? dość jest spojrzeć na okolice otaczające ją, ażeby wytłumaczyć przyczynę. Tu zaczynają się owe stepy nieprzejrzone, ciągnące się aż do Czarnego morza, i tu podróżny po raz ostatni na pogranicznej miedzy dawniej Polski widzi kępy lasów, jak ostrowy burzany albo wyspy trzcinowe siedzące na ogromnych obszarach pola.

Okolice już ma wyraz stepowy, ale dziwnie wesoły, szeroki, sięgający na mil kilka, oblamowany szeregiem kurhanów i mogił i pokryty ogromną błękitną taflą nieba. Wesoło tu, hulaszczu, w obec tej płaszczyzny ginącej w oddali. Czuć pustynię, jej cuda, jej życie tajemnicze. To wszystko co gdzieindziej przeludnienie okolicy zdrobniło, pokratkowało, odgraniczyło płotami, rowem, miedzą,—tu jeszcze szeroką ma skalę. Miedze tu ścielą się kilkosążniowej szerokości, drogi niewykreślone rowem, wygony po wsiach, jak gdzieindziej pola, a sianożęcia świadczą że pług tych obszarów pokonać nie mógł dotąd. Po jarach, nad taflą wody, siedzą ukraińskie wioski, scharakteryzowane cerkiewką o trzech szczytach; przy rozstajnych drogach stoją krzyże, a jary pokręcone jak zmięte ogony, rozbiegają się na wsze strony stepu. Doprawdy, na takich tylko błoniach można jeszcze zrozumieć „Farysa,“ można pojąć czem jest koń dzielny, czem step dla jeźdźcy i konia!

Złotopól jest prawdziwie ukraińską sadybą. Bez ogrodzenia, bez rowu, bez wrót, rozsypał się jak paciorki na tacy, a z tej listewki domków, wybiegają wyżej kopuły cerkwi i kościółka, który stoi u wrót granicznych, przy drodze wiodącej do Mirhorodu.

Złotopól wchodził niegdyś do massy dóbr ks. Ksawerego Lubomirskiego, znanych pod ogólnym nazwiskiem Śmolańszczyzny, a po odprzedaniu takowych księciu Potemkinowi, po śmierci tego magnata przeszedł w posiadanie sukcesora jego generała Mikołaja Wysockiego, od tego zaś do Łopuchynów, ale nie książąt, do których należy Korsuń. Na miejscu gdzie

mieszkańcami pogranicza, którzy za ledwie od lat kilkudziesięciu datują w tych stronach swe nabycia. Wszystko tu niedawne, nieustalone, niezagospodarowane, kościółki, domy i ludzie. Całą zaletą tego kościółka jest właśnie ta jego wyjątkowość, ten urok jaki mu nadaje pustynia. Niegdyś czuwał tu Mohort; dziś na tém samym miejscu czuwa krzyż Pański i strzeże Mohortowej granicy!...

Tadeusz Padalica.

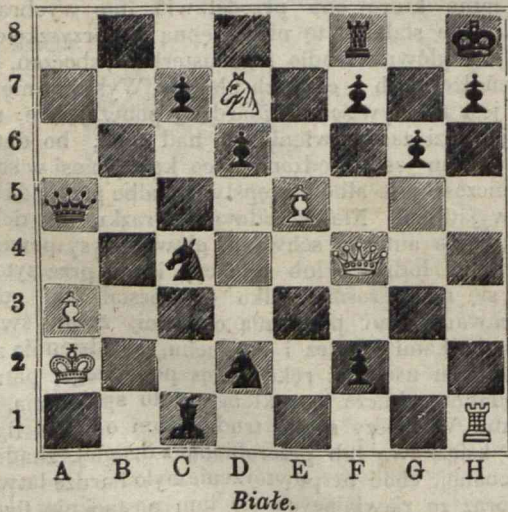
SZACHY.

(J. B. w Grodnie).

ZADANIE CIII.

Białe zaczynają i dają matę za piątym posunięciem.

Czarne.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 131.

Zła żona to bęben, który ustawicznie bije pobudkę.

REBUS.

